

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą

Michał Witkowski
Drwal
Świat Książki
Warszawa 2011

Michał Witkowski, pisarz, wyjeżdża w środku jesieni stulecia 2010 roku do nadmorskiego kurortu, polskiego Saint-Tropez (too much money in the bank account?) – Międzyzdrojów. Odpoczynku zaznać może tylko po sezonie, gdyż ten w Warszawie nigdy się nie kończy. Opuszcza stolicę, rubryki towarzyskie, gale najpiękniejszych, porzuca stałe łącze, szybki dostęp, 100 Mb/s, cztery kreski baterii i zasięgu. Z notebookiem w plecaku, USB na szyi, w bojowym swetrze z Zary tłucze się Witkowski 9 godzin pociągiem PKP z Warszawy do Szczecina Dąbia, dalej pekaesem do Międzyzdrojów, by odnaleźć tam temat na prozę. A wszystkie znaki na niebie i ziemi, piosenka z radia, współtowarzysze podróży wskazują wyraźnie, iż przyda się to autorowi do prozy. Pisarz opisuje skrupulatnie drganie szyb autobusu wiozącego go na miejsce przeznaczenia, zapada się w obserwowany świat, zasypuje w listopadowym

śniegu, marznie. Celem podróży Witkowskiego jest, po pierwsze, odcięcie się od warszawskiego światka oraz napisanie kryminału. Odpoczynek, ale i praca, tabletki lexotanu i rąbanie drewna. Zajęciom tym oddaje się autor nie w Hotelu Wiedeńskim przy promenadzie gwiazd, lecz na uboczu, w schowanej na polanie leśniczówce. Gdzie gospodarzem na włościach jest tajemniczy Robert, odseparowany od świata przez gąszcz i psychotropy drwal. „Facet od domków”, jak nazywa go Witkowski, niezwykle intryguje pisarza, który obserwując mężczyznę, pragnie zbadać zagadkę jego życia. Wszystko w imię dobra prozy, w którą wakacje po sezonie muszą się ułożyć.

Tak (w nie bardzo telegraficznym skrócie) prezentuje się początek najnowszej powieści Michała Witkowskiego pod tytułem *Drwal*; zaczyna niebezpiecznej pogoni za sensacją, która jak rozrzucone wióry na wyrębie dotyka każdego na trasie od Międzyzdrojów, przez Lubiewo, do Świnoujścia. Autor Margot powraca w dobrze sobie znane nadmorskie rejony nie tylko geograficznie, lecz także sentymentalnie, programowo, by wśród leśnej ciszy rozprawić się z medialnym szumem różowego PR-u ostatniej książki i legendą swej debiutanckiej powieści. Pojawienie się w Międzyzdrojach pisarza-celebryty podobne jest do przejazdu karetki na sygnale przez ulice dusznej miasteczka, stawia wścibskich ludzi w oknach i w gotowości, by, gdy tylko pojawi się ku temu okazja, nieść pomoc zbłąkanemu przybyszowi, VIP-owi, który za wrzątek gotów zapłacić jest każdą sumę polskich złotych, a może nawet euro.

W *Drwalu* Michał Witowski mierzy się przede wszystkim z konkretnym gatunkiem literackim – kryminałem – czy też, by wyrazić się ściślej, z własnymi, autorskimi wyobrażeniami tej konwencji. Snuta bowiem opowieść sensacyjna sklejana jest z klisz i motywów, które są dla pisarza +

punktem wyjścia rozpoznania kryminalnego gruntu. Witkowski powołuje do życia na papierze bohatera pisarza, który po lekturze detektywistycznych historii nie chce być jedynie biernym obserwatorem, narratorem powieści, lecz pragnie wpływać na jej przebieg. Michał literat zaczyna więc prowadzić nieumiejętne śledztwo, robiąc to jednak nie za pomocą przesłuchań, lecz plotki, legendy miejskiej, anegdoty. Odwiedza w tym celu najważniejsze punkty w Międzyzdrojach – centralę famy i rozgłośnię błagi: miejscowego masażystę i sklepową w kawiarnio-smażalni. Chaotyczne opowieści o drwalu Robercie, które usłyszał, kierują go w stronę opuszczonego partyjnego ośrodka Grodno, gdzie straszą duchy Zdradzonych Mężów.

Witkowski zakorzenia swój kryminał w konkretnych realizacjach gatunku. Nie chce być jak Agatha Christie, lecz jak Michaśka Literatka, która za młodu naoglądała się Tolka Banana, Wakacji z duchami i teraz na nie stawia. Lepiej zrozumieć kryminał pomogło także zakurzone wydanie Pitawala warszawskiego, znalezione na półce u Roberta. A w nim zdjęcie. Autor Margot po niezbyt udanych wybrykach prozatorskich Drwalem odzyskuje świeżość w opowiadaniu historii. Fabuła bowiem tej książki jest tak znana, że do samego końca pozostaje zagadką. Witkowski kreuje niebanalnych bohaterów, spleta ich węzłami tajemnicy, której rozwiązanie wydaje się odraczane na wieczne nigdy. I gdy w połowie książki bohater porzuca kryminalne śledztwo, wraca ono w jego stronę jak bumerang, fatum, jak cydr, którego nawarzył i wypić musi. Najnowsza powieść Witkowskiego opowiedana jest w sposób niezwykle filmowy. Autor-scenarzysta myśli obrazami, które wylewają się ze zbiornika słów. Bohater pisarz pozwala sobie zresztą często na autokomentarze, tekst poboczny, który ułatwić ma ewentualnym adaptatorom pracę. Filmowość prozy Witkowskiego nie jest tylko przypadkiem Drwała, debiutanckie

Lubiewo aż się prosi o ekranizację. Dziwne, że w czasie gdy polityka historyczna PISF-u z ochotą finansuje opowieści o przeszłości, żaden z filmowców nie sięgnął jeszcze po gotowy już, bodaj najbardziej wysmakowany stylistycznie obraz nienormatywnej Polski (zaklepuję scenariusz!).

Obrazowość świata przedstawionego w swojej prozie uzyskuje Witkowski poprzez skrajne zanurzanie się w estetykę, którą realizuje na dwóch płaszczyznach – językowej i stylistycznej. W Drwale autor zaprzęga do pracy narzędzia językowe, wypracowane i sprawdzone dużo wcześniej. Powiedzieć można więc, że nihil novi, nic nowego, panie Michale, z czym do ludzi, ale jednak... To, co w dwóch poprzednich powieściach Witkowskiego było powtórzeniem, w jego najnowszej książce staje się dojrzałością. Nie służy także, jak w Lubiewie, emanacji i emancypacji kategorii queer; język Drwała wydaje się zdolny do opisu większych fragmentów świata, jest samowystarczalny, nie tracąc przy tym nic ze swojej specyfiki, indywidualności. Pisarz nie ukręcił na sobie tym razem ciotowskiego bicza. Język Witkowskiego w Drwale nie jest manierą, lecz zasadą, która rządzi (jak to dotąd bywało) nie tylko składnią, ale i całymi konstrukcjami kryminalnej akcji. Rozbudowane zdania odwołują się poprzez liczne dygresje rozumienie sensów i czytelnik, by dotrzeć do ich serca, musi się przedrzeć przez gąszcz powtórzeń, szyków przestawnych. W taki sam sposób konstruuje Witkowski fabularną stronę powieści. Nieustanne wtrącenia, retardacje odsuwają i zaciemniają rozwiązanie zagadki, która, było nie było, w konstrukcji kryminału jest konieczna. Autor Lubiewa rozkoszuje się wyglądem słów i fraz, podobny jest w tym do Tadeusza Różewicza – jego talentu podsłuchiwanie, nastłuchiwanie i przysłuchiwanie się. Pozwala to Witkowskiemu skuteczniej rozpoznawać i dekonstruować modne współcześnie akty mowy, co w wypadku tego autora niekoniecznie związane jest z lingwisty-

ką. Bohater pisarz wielokrotnie powtarza słowa o przydatności niektórych wydarzeń – formułą „do prozy” – odsłania współczesną pamięć Facebooka, która karmi się wyszukiwaniem ciekawych rzeczy, umieszczanych później na ścianie. Widać to wyraźnie choćby w pozatekstowym, lecz wirtualnym świecie, gdzie Witkowski jest niezwykle aktywny. Wskazuje na to sama obwołana Drwała, na której umieszczono nie adres internetowej strony autora, lecz jego profil na Facebooku.

Witkowski traktuje także estetykę jako specyficzną formę nostalgii. Z nie zawsze kempowym nastawieniem zatapia się w stylistyce lat minionych, by choć na chwilę przywołać świat, który minął bezpowrotnie. Jego bohater pisarz wyszukuje w świecie przedstawionym artefaktów dawnego blichtru, strojności poduszek na ramionach okresu wczesnych lat 90. W leśniczówce „pokoje umeblowane jego myśli” skrywają przed nim zakurzone antyki, porcelanę, szkło, fajanse, Lladró panie, Korzec panie, vintage, Ćmielów panie!

Nie tylko jednak estetyka z dawnych lat (wróc do mnie?) wprowadza bohatera pisarza, a także Witkowskiego w melancholię. Ucieczka z Warszawy bowiem jest dla Michała literata powrotem do natury, a na pewno jej bardzo kulturową wersją. Witkowski bowiem przeładowany obrazami nie jest już w stanie porzucić reprezentacji natury, doświadcza jej w bardzo konkretnym kulturowym wzorcu. Co prawda, poszukuje on prostoty, stąd ten brud, łuj, drwał, śnieg, zima – lecz szybko zdaje sobie sprawę z tego, iż to także jest bardzo konkretną konwencją. I by obronić się przed schizofrenią, wprowadza Witkowski w powieści przeestetyzowane formy, bogato czerpiące z przyrody. Autor zbliża się więc do natury w sposób dość paradoksalny, znajdując ukojenie w modzie i designie – wszechobecnych ostatnio motywach łowieckich i leśnych. Robert staje się dla bohatera pisarza drwalem nie dla-

tego, że pracuje przy wyrębie lasu, lecz z powodu wglądu – nosi brodę i flanelową koszulę. Takiego lumberJacka (tu podobnie jak wiewiórka w czeskim to drzewokocur, lumberJacek jest niczym innym jak angielskim lumberjackiem) każdy może stworzyć z powodzeniem sam – wystarczy tylko: odpowiednie buty, miodowy, najlepiej z Alaski, wełniana czapka, nieśmiertelny dżins i wszechobecna krata. Moda zastąpić może dziś wszystko, choć skryte pragnienia o pierwotnym drwale czy innym Stanleyu Kowalskim zawsze pozostaną niedoścignionym marzeniem.

Michał Witkowski stał się pisarzem modnym – chwalała mu za to. Dodatkowo potrafił połączyć w sobie szereg innych, ważnych dziś kompetencji literata, celebryty, biznesmena i DJ-a. Pozwala mu to na skuteczne rozpoznanie mechanizmów współczesnego świata i kultury popularnej, czego dalszym krokiem jest produkowanie lepszej literatury. Raz po raz zmienia Witkowski także strategie marketingowe, testuje na opinii publicznej, krytyce, czytelnikach swoje nowe ja – jako Męża-Jacykowa czy outsidera. W Drwału jego wewnętrzna emigracja wydaje się koniecznością i pozą, skutkującą bardzo dobrym wydarzeniem literackim.

Ostatnia powieść Michała Witkowskiego jest także jego wielkim zwycięstwem w prozatorskim agonii z własną twórczością. Udało się bowiem wreszcie pisarzowi przeskoczyć legendę Lubiewa, widać nadmorski klimat mu sprzyja. Autor wyposażył siebie i swojego bohatera w obosieczną broń autoironii, która pozwala na remontowanie wcześniejszych dokonań, by na ich zrębie stanąć mógł Drwał. Harold Bloom wykażał nasz lęk przed wpływem, formatowaniem, które nie zawsze płynie z zewnątrz. Ironia drastycznie pozbawia nas przeszłości, będąc jednocześnie nadzieją na przyszłość. A lud czeka i szepcze: novi. Novi!

Piotr Buśko

+